

Wszystkie numery Magazynu znajdziesz na www.magazyn.fnin.eu

Numer 2/2012 (4) sierpień 2012 r.

MAGAZYN

dla fanów FNiN

W numerze:

- "Gra o Tron"
- Wiki dla każdego
- Retrogralnia

W oczekiwaniu na film
"Felix, Net i Nika oraz
Teoretycznie Możliwa Katastrofa"

Drogi Czytelniku!

Połowa wakacji już za nami! Za oknem upalne słońce, a więc i w redakcji naszej gazetki zawrzało. Po ogłoszeniu wyników konkursu w czerwcu, do redakcyjnej rodzinki dołączyli: Fileas, Magix Slayer, Karmel oraz moja skromna osoba. Wszyscy zaangażowaliśmy się od razu w tworzenie kolejnego numeru i żywimy ogromną nadzieję, że poczytność Magazynu wzrośnie o co najmniej 200%.

W niniejszym numerze znajdziecie nie tylko artykuły konkursowe – staramy się zająć Wasze zniecierpliwione umysły naszymi wypocinami na różne pokrewne FNiN tematy. Recenzujemy ostatnie premiery, sięgamy do źródeł historii, ale też, spoglądając niepewnie w przyszłość, próbujemy przewidzieć tempo rozwoju naszego społeczeństwa.

Przede wszystkim jednak czekamy z utęsknieniem na jesienną premierę filmu „Felix, Net i Nika oraz Teoretycznie Możliwa Katastrofa”. Niektórzy mieli już okazję go obejrzeć na festiwalu, ale reszta śmiertelników musi czekać na oficjalny pokaz produkcji. Drepczemy też niespokojnie po Empikach, próbując złowić kolejną część Świata Zero – na którą też przyjdzie nam jeszcze poczekać.

Jeśli nie wiecie co zrobić z nadmiarem wolnego czasu, usadźcie swe opalone ciała przed komputerem i zajrzyjcie na forum.fnin.eu, by prześledzić nowe wydanie Magazynu lub porozmawiać ze stałymi bywalcami. Serdecznie zachęcamy też do udziału w Polconie (23-26 sierpnia), na którym pojawi się spora reprezentacyjna grupa z naszego forum, w miarę dorosła (choć dość nieogarnięta i bardzo zmaskulinizowana).

Jeśli macie jakieś pytania odnośnie konwentu, nie bójcie się porozmawiać z nami! Życzę miłej lektury oraz pełnej przygod reszty wakacji.

FNiN_addict

SPIS TREŚCI

DROGI CZYTELNIKU!2

W OCZEKIWANIU NA FILM TMK.....3

ŚWIAT ZERO NA DUŻYM EKRANIE.....3

FILM TMK, CZY NIE TMK?4

UDZIĘKOWIENIE W POLSKICH FILMACH.....5

PRACE KONKURSOWE.....6

PO CZYM POZNAĆ PRAWDZIWEGO FANA

FELIXA, NETA I NIKI?6

FAN ART NIE DLA WSZYSTKICH?7

GDYBANIE O PRZYGODACH

FNiN-OWYCH Z ZACHĘTĄ.....10

STARY O MŁODYCH, MŁODZI DLA STARYCH.....10

O HISTORII ROBOTÓW SŁÓW KILKA.....12

SIĘGNIJMY GWIAZD – NASZEGO

WŁASNEGO ROZWOJU.....13

KSIĄŻKI I RECENZJE.....15

IGRZYSKA ŚMIERCI - KSIĄŻKA VS. FILM.....15

RECENZJA: „FACECI W CZERNI 3”16

„BAŚNIOBÓR” – Z SERII KSIĄŻEK

„NIE TYLKO DLA DZIECI”17

GRA O TRON – OMÓWIENIE.....17

RETROGRALNIA 19

CZĘŚĆ PIERWSZA - STRZELANKA

WSZECHCZASÓW.....19

WIKIADMIN POLECA.....20

WIKI DLA KAŻDEGO.....20

FELIETONY.....21

CZERŃ CIĄGLE W MODZIE.....21

KONTO NA FACEBOOKU - PO CO MI ONO?23

PRZEMYCONY BOKIEM DODATEK.....24

W POSZUKIWANIU SENSACJI.....24

Redakcja: drzewo148, Dziobał, Fileas, FNiN_addict, kam193, Karmel, Magix Slayer, Snorri. Autorzy pozostałych prac konkursowych: justilla i CezariXen.

Korekta: Fileas, Magix Slayer.

Zapraszamy do współpracy! Jeśli chciałbyś/chciałabyś napisać (nawet jednorazowo) artykuł – napisz jakiś na dowolny temat i wyślij do kam193 na adres kam193@fnin.eu

WWW.MAGAZYN.FNiN.EU

W OCZEKIWANIU NA FILM TMK

Świat Zero na dużym ekranie

Na ekrany kin wchodzi właśnie pierwsza, oczekiwana od dawna przez fanów, ekranizacja powieści Rafała Kosika. Na moment porzucmy polski sceptycyzm i wyobraźmy sobie, że odnosi ona komercyjny sukces. Producenci rzucają się na kolejne części cyklu jak wygłodniałe psy, a my - po kilkunastu latach możemy zabrać dzieci na filmową wersję Świata Zero... Na usta aż cisną się słowa wieszczka: *Wtem Bóg z Mojżeszowego pokazał się krzaka, Spojrzał na te krzyczące i zapytał: „Jaka?”*

Jeszcze 5 lat temu nikt nie spodziewał się tak szybkiej popularyzacji technologii 3D. „Gwiezdne Wojny” wykorzystujące, jako pierwsze efekty specjalne na masową skalę powstały 30 lat temu. Jeżeli cofniemy się jeszcze o 10 lat okaże się, że rzadkością w Polsce był wówczas film kolorowy, a dodatkowo 20 przeniesie nas w okres świetności Greta Garbo, Poli Negri i Charliego Chaplina - do czasów kina niemego. A co jeżeli wybiegniemy 15 lat do przodu?

4 wymiary i 5 zmysłów

Po co iść na film, jeżeli mogę ściągnąć go z Internetu? – mogliśmy zapytać przed przełomowym (technologicznie; fabularnie – przerażająco schematycznym) Avatarem. Dziś odpowiedź jest jasna – w kinie widzimy film okraszony wciskającymi w fotel efektami specjalnymi. Ale technologia 3D również powoli wchodzi pod strzechy – niedługo telewizory i komputery pozwalające na oglądanie filmu w tej jakości przestaną być czymś niezwykłym. Czy w takiej sytuacji odpowiedzią przemysłu filmowego będą produkcje w tak zwanym „piątym wymiarze”?

„Piąty wymiar” to właściwie błędna nazwa, ludzie są w stanie odbierać przecież tylko cztery - wysokość, szerokość, długość i czas. Żeby opisać, czym jest tzw. kino 5D powinniśmy posłużyć się kategorią zmysłu - standardowo film oddziałuje jedynie na słuch i wzrok. Współcześnie pewną ciekawostką

pozostaje film, którego możemy „dotknąć” - ruszające się fotele, pryskająca woda... W przyszłości, a nie jest to niemożliwe nawet przy zastosowaniu współczesnej technologii, moglibyśmy patrząc nad duży ekran cieszyć wszystkie zmysły – smakując i wążchając dokładnie to, co główny bohater.

Jednak czy jest to przyszłość kina? Nie sędzę. Oglądając film nie chcemy czuć się jak uczestnik wydarzeń – to domena gier komputerowych. Wolimy raczej obserwować postaci i przeżywać ich emocje, niż stać się uczestnikiem pędzącej fabuły. Pomijając fakt, że trudno mi wyobrazić sobie romantyczną randkę, czy nawet rodzinne spotkanie przy filmie, który wymaga uwagi wszystkich naszych zmysłów.

Kulturalna rozrywka

A może na wstępie należałoby zadać sobie pytanie - dlaczego w ogóle chodzimy do kina? Czy oglądanie filmów (nawet za darmo) na własnym komputerze może kiedykolwiek zastąpić mrok filmowej sali, zapach popcornu i niezwykle uczucie przebywania przed wielkim ekranem?

Oczywiście do pewnego stopnia tak – jednak nigdy nie zrobi tego zupełnie. Tak jak kino nie zniszczyło teatru, tak samo Internet nie może zniszczyć kina, które poza formalną funkcją – umożliwienia nam oglądania najnowszych produkcji, jest także instytucją samą w sobie. Chodzimy do kina właśnie po to, żeby pobyć w kinie. „Jeżeli będziesz grzeczny, pójdziemy do kina”; „Robisz coś w sobotę, bo wiesz... eee...

fajny film grają, może-byś-poszła-ze-mną-do-kina” tkwią w naszej kulturze na tyle mocno, że nie da się ich wyprzeć z dnia na dzień.

Może więc na wartości zyskają filmy nieco trudniejsze, po których można porozmawiać przy herbacie? A do łask powrócą przykawiarniane



kina studyjne pełne raczej wielbicieli danego reżysera, niż znudzonych nastolatków siorbiących kolę?

Wizja, przynajmniej w moim mniemaniu, idylliczna, ale niestety nie mogę sobie pozwolić na aż taką dawkę optymizmu. W znacznym stopniu zmonopolizowany i niezwykle rozbudowany przemysł filmowy nie pozwala stosować prostego myślenia – grają to, co ludzie chcą oglądać. Do pewnego stopnia można nawet powiedzieć „oglądamy, jak nam zagrają”- producenci Holly i Bollywoodu pozyskali magiczną umiejętność kreowaniu gustów szerokiej publiczności i raczej nie pozwolą by rentowność ich firm spadła do poziomu rentowności przeciętnej instytucji kulturalnej.

Et omnia vanitas (i wszystko marność)

Wieszczenie końca historii jest zawsze bardzo ryzykowne, jednak na horyzoncie rozwoju kina nie rysują się żadne szybkie zmiany. I nie są one w niczym interesie – żeby nadal przyciągać widzów do kin wystarczy stale wprowadzać drobne, ale interesujące poprawki. Wchodzący niedługo do kin „Hobbit” będzie kręcony z prędkością 48 (zamiast jak dotąd 24) klatek na sekundę i jeżeli mam być szczerzy sam nie mogę się oprzeć pokusie ujrzenia tej technologii na dużym ekranie.

Wszystko musi doczekać swojego końca – kino powoli, ale nieuchronnie zbliża się do kresu swoich możliwości. Filmowcy z pewnością zaskoczą nas swoją pomysłowością jeszcze wielokrotnie, ale pole manewru pozostaje coraz mniejsze. Nie chcę bynajmniej napisać, że Świata Zero na dużym ekranie nie ujrzymy wcale, lub potraktujemy go jedynie, jako kulturalną ciekawostkę – niemniej jednak nie wydaje się, żeby kino przyszłości miało znacznie różnić się od współczesnego. A może do tego czasu w panteonie będzie mogła zasiąść jeszcze jedna, jedenasta muza, której dzisiaj nie jesteśmy sobie w stanie wyobrazić?

Fileas



Film TMK, czy nie TMK?

Już wkrótce czeka nas premiera długo wyczekiwanego filmu „Felix, Net i Nika oraz Teoretycznie Możliwa Katastrofa”. Powszechnie nazywany jest on ekranizacją drugiego tomu „Felix, Neta i Niki”, jednak czy w obliczu licznych informacji o zmianach względem pierwowzoru, jest to wciąż właściwa nazwa?

Korzystając z Wikipedii możemy dowiedzieć się, że ekranizacja to *filmowa forma pierwowzoru literackiego*. Ok, zatem ogólnie powinno się zgadzać - film powstaje na podstawie powieści o tym samym tytule, do tego przy współudziale jej autora. Jednak nieco niżej Wikipedia podaje - dla odróżnienia od ekranizacji przenoszącej utwór w sposób możliwie wierny oryginałowi – przykład „Eragona”, filmu którego żadną miarą nie można nazwać ekranizacją książki o tym tytule, z pierwowzoru zachowano praktycznie tylko główne postaci. Nazwano go *adaptacją*, choć według mnie i to miano jest tu naciągane. Niestety, tego typu postępowanie przy przenoszeniu powieści na ekrany kin jest wręcz nagminne, a przykłady można wymieniać bez końca.

Z drugiej jednak strony, przy ekranizacjach mamy zderzenie dwóch odmiennych światów: książki i filmu (a w naszym przypadku należy zaznaczyć: polskiego filmu). W takim połączeniu trzeba się liczyć z tym, że książka nie zachowa wszystkich swych elementów. Myślę tu głównie o dwóch kwestiach: fabule, której wierne odtworzenie jest często niemożliwe, ze względu na ograniczony czas, oraz elementach fantastycznych i efektach specjalnych – i ich wpływie na budżet. W filmie TMK wszystkie te niedogodności są z pewnością doskonale widoczne: wiemy, iż nie ujrzymy tam m.in. Warszawy z przyszłości, a sama fabuła musiała się zatem znacząco zmienić, co potwierdza niezbyt ciekawie brzmiący tytuł forumowego wątku o przedpremierowej projekcji ekranizacji TMK: „Recenzja filmu, czyli sklejamy postacie”.

Innym aspektem są szczegóły: od doboru aktorów, po kolor bluzki. O ile trudno zrażać się do ekranizacji przez różnice w strojach, zmienione tło lub inaczej wyglądające budynki, a i inne drobiazgi nie sprawiają większych problemów przy odbiorze filmu (choć mogą

zadziwić – jak chociażby w filmie TMK zastosowanie latarek czołowych zamiast nausznych, choć te drugie też istnieją!), o tyle największym problemem są zawsze aktorzy.

Nie oszukujmy się – dopasowanie ludzi z talentem aktorskim do jakiegoś wymyślnego opisu graniczy z cudem. Dlatego, choć do zgodności wyglądu głównych bohaterów z pierwowzorem mam wiele zastrzeżeń – jak pewnie każdy fan FNiN - to nie narzekam. Na razie. Zaczę, jeśli ich gra w filmie nie będzie mi się podobała.

Wiemy już o zmianach w fabule, szczegółach, aktorach – konieczność wszystkich tych modyfikacji można oczywiście łatwo uzasadnić. Jednak mimo to na nie narzekamy, nieco za dużo, ale nie bezpodstawnie. Każde odchylenie od literackiego pierwowzoru nie tylko oddala nas od słowa ekranizacja i powoduje rozgoryczenie fanów, ale też jest bardzo ryzykowne dla powodzenia filmu. Bo choć sukces książki nigdy nie gwarantuje sukcesu na dużym ekranie, to jednak przecież każda zmiana zwiększa możliwość powstania niewypału.

Wciąż nie odpowiedziałem na główne pytanie: czy to dalej będzie film „Felix, Net i Nika oraz Teoretycznie Możliwa Katastrofa”? Trudno powiedzieć. Nie należę do grona osób, które go widziały i nie wiem, ile w rzeczywistości pozostało w nim z książki, ale przeczytane opinie nie napawają optymizmem. Mam jednak nadzieję, że bliżej mu do ekranizacji niż adaptacji, a jak najdalej od wspomnianego na początku „Eragona”.

Do napisania tego artykułu skłoniły mnie... słone paluszki, które jadłem jadąc pociągiem. Lubię paluszki, ale nie przepadam za tym, kiedy coś, a szczególnie sól, zmienia mi ich smak – jednak kiedy nie mam wyboru, słone paluszki są lepsze niż brak paluszków. Dlatego niezależnie od tego, czy film TMK będzie ekranizacją, adaptacją czy nie będzie miał żadnego związku z książką – bez wątpienia go obejrzę i życzę mu sukcesu, jak pewnie większość fanów FNiN.

kam193



Udźwiękowanie w polskich filmach

W związku ze zbliżającą się wielkimi krokami premierą ekranizacji książki Rafała Kosika „Felix, Net i Nika oraz Teoretycznie Możliwa Katastrofa”, wszyscy stawiamy przed reżyserem wysoko położoną poprzeczkę. Mimo kilku drobnych niepowodzeń, całość filmu zapowiada się ciekawie. W tym momencie jednak pozostaje nam tylko spodziewać się i gdybać. I tu rodzi się pytanie – „Czy film, na który tak długo oczekujemy, okaże się czymś innowatorskim?”. W końcu każdy z pewnym budżetem jest w stanie wykonać film na poziomie średniej półki polskiego kina. Kiczowate, nierealne sceny akcji, zatrudnianie rozpoznawalnych aktorów w celu zatuszowania braków w scenariuszu, „mongolskie dialogi” czy dźwięk pochodzący jakby z innego świata. No właśnie. Tą ostatnią sprawą chciałbym się dziś zająć w szczególności, ponieważ bardzo mnie ona dziwi.

Ci z Was, którzy oglądają czasem nowe płody polskich wydawnictw filmowych, powinni z łatwością kojarzyć sceny, w których dźwięk jest wyjątkowo nienaturalny, na przykład sytuacja, w której aktorów stojących kilkanaście metrów od kamery słychać jakby stali tuż obok niej. Jest to efektem dogrywania dialogów w studiu. W moim mniemaniu całkowicie rozprasza to odbiorcę i psuje efekt, jaki próbowaliśmy osiągnąć przez cały film – zadowolenie widza. Ostatnio sam wpadłem przypadkiem na nowe dzieło naszej sceny filmowej – „Sztos 2”. Nie zamierzam tu oceniać całości, lecz poświęcić chwilę uwagi na scenę pokazywaną na samym początku – kiedy aktorzy stoją przy aucie na drugim planie, a głosy słychać doskonale, z takiego bliska jakby odgrywający mówili wprost do mikrofonu.

Tak samo denerwująca jest amplituda natężenia dźwięku – część filmów oglądam z pilotem w ręku, aby szybko ściszać sceny, w których z ledwo słyszalnego szeptu przechodzimy nagle we wręcz kipiącą decybelami scenę strzelaniny, wrzasku czy imprezy. Nie wiem, czy podczas sceny z głośną muzyką, wybierać pomiędzy wyniszczeniem

sobie słuchu przez hałas, czy niesłyszeniem dialogów, o wiele cichszych od samych utworów. Wydaje się, że tendencja poziomu polskiego udźwiękowienia filmów jest wręcz odwrotna do tej z zachodu – malejąca. Wiele do życzenie pozostawia też dykcja aktorów. Chociaż jest to według mnie najmniej bolący problem, wciąż daje się we znaki. Zdania wypowiedzane są tylko po to, żeby je wypowiedzieć. Często naiwnie oczekujemy humorystycznego czy dramatycznego zaakcentowania jakiegoś dialogu i spotykamy się z żalem po usłyszeniu głosu, obojętnego niczym u otyłego czterdziestolatka, oglądającego kolejny beznadziejny film

z piwem w rękę, odpowiadającego na pytania żony.

Bardzo dziwi mnie to zjawisko, które przecież nie jest aż tak trudne do naprawienia, żeby z tego zrezygnować. Wiele studiów filmowych nie decyduje się na taki krok, co powoduje uzasadnioną dezaprobatę podczas słuchania kolejnych polskich filmów. Mam nadzieję, że „Felix, Net i Nika oraz Teoretycznie Możliwa Katastrofa” wyłamię się z tego dość wstydlwego kanonu i będzie pod tym, jak i pod innymi względami dopracowane do stopnia przynajmniej bardzo dobrego.

Magix Slayer



Po czym poznać prawdziwego fana Felixa, Neta i Niki?

Członkowie niektórych społeczności codziennie zakładają zieloną mulinę na rękę, albo przypinają sobie plakietki z napisem „Kocham psy”... Fani FNiN są wyjątkowi. Mimo to myślę, że dosyć łatwo nam się rozpoznać – oto lista dwudziestu typowych cech i zachowań prawdziwego fana, stworzona na podstawie obserwacji:

- Na widok chłopaka z potarganymi brązowymi włosami i w okularach zaczyna się śmiać.
- Na widok rudej dziewczyny z drobnymi lokami i zielonymi oczami uśmiecha się jeszcze bardziej.
- Jeśli ta dziewczyna ma jeszcze spódniczkę w kratkę, martensy i dżinsową kurtkę, wybałusza oczy.
- Na widok niskiego blondyna nie reaguje.
- Lubi kudłate, czarne psy.
- Kiedy pan Kosik wrzuci nowy fragment książki, chodzi szczęśliwy przez najbliższe trzy dni.
- Reaguje alergicznie, gdy ktoś wspomni o wyborze aktorów do filmu FNiN.
- Ciągłe szuka parametrów różnych dziwnych stacji radiowych, żeby posłuchać wywiadów z panem Kosikiem.
- Stara się zrobić co tylko może, żeby mieć jak najwięcej książek podpisanych przez autora.
- Wnikliwie studiuje wszystkie obrazki z książki i porównuje je ze sobą.
- Przed przeczytaniem kolejnej części, zawsze dokładnie ogląda wklejkę.
- Uwielbia prowadzić długie, ożywione dyskusje pod postami na stronie pana Kosika.
- Mówi o FNiN wszystkim znajomym i pisze o nim na wszystkich portalach.
- Kiedy wyjdzie nowa część, obiecuje sobie, że będzie czytał tylko rozdział dziennie, a potem połyka ją w całości.
- Gdy ma się ukazać nowa część, projektem okładki ekscytuje się w równym stopniu co książką.
- Jeżdżąc na imprezy kulturalne, zawsze sprawdza czy nie pojawia się na nich pan Kosik.

Karmel

Fan art nie dla wszystkich?

Czytając książkę, kreujemy w naszej wyobraźni wizerunki bohaterów. Pomagają nam w tym liczne opisy, dialogi albo – ale to już zdecydowanie mniej często – okładki. FNiN i „Harry Potter” to jedne z serii, które zdecydowały się pokazać głównych bohaterów już na początku. Inne serie – „The Hunger Games” czy „Eragon” (Dziedzictwo) – nie odważyły się na taki ruch. Jednak rzesze fanów zdają się wypełniać tę lukę. Znajdziemy w sieci (zwłaszcza na deviantart.com) wiele rysunków, grafik, a nawet obrazów olejnych, przedstawiających ulubionych bohaterów serii. Na razie jednak „Felix, Net i Nika” opiera się tej tendencji. Przemierzając internetowe zakamarki udało mi się znaleźć głównie niestaranne bądź infantylne szkice oraz pseudografiki. Dlaczego tak jest? Czy polscy czytelnicy (bo na razie książka jest znana głównie w naszym kraju) nie mają talentu, czy po prostu boją się rywalizować z talentem pana Rafała Kosika?

Zacznę może od moich ulubieńców. Imponuje mi nie tylko ich warsztat, ale także pomysłowość w przedstawianiu scen znanych nam z danej książki. Iberghol słynie z niesamowicie ekspresyjnej kreski, ale także z zadartych nosów, którymi obdarzyła wszystkie postacie. Ten drobny zabieg sprawił, że jej prace rozpoznawalne są już na pierwszy rzut oka. Jednak nie ogranicza się jedynie do kanonu – przedstawia sytuacje zabawne, mniej i bardziej prawdopodobne, zagląda w przyszłość bohaterów albo snuje rysunkowe przypuszczenia na temat nieopisanych w tomach szczegółów z życia wrogów, zakochanych i przyjaciół.

Iberghol „Profesor Trelawney”, „Kształty” oraz „Dwór Malfoyów”

PROF. TRELAWNEY

(c) 2003 LAB



SHAPES



(c) 2003 LAB



Wspaniałą artystką jest także Viria13, która posiadała trudną sztukę czarowania pastelowym światłocieniem. Delikatne kolory i różnorodność oraz pomysłowość przydają jej pracom wiele zalet. Nie ogranicza się tylko do serii HP, ilustruje także z zapałem przygody Percy'ego Jacksona oraz Doctora Who. Szczególnie tknęła mnie jej praca (pierwsza po prawo), o znamienym tytule „Whole world in a mirror”, który przedstawia Georga klęczącego przed lustrem – on nie musi patrzeć w Zwierciadło Ain Eingarp, aby odkryć, czego najbardziej mu brakuje.



Viria13 „Whole world in a mirror”

„Harry Potter” to nie jedyna seria, której stale przybywa czytelników. Ostatnio zekranizowane „Igrzyska Śmierci” nie przestają przyciągać młodych czytelników. Sama jestem zachwycona wielowymiarowością tej serii, która okazuje się być studium nad światem posttotalitarnym i konsumpcjonizmem. Ale przecież nie o tym mam pisać. Niestety pełno jest internetowego śmiecia, które prezentuje nieudane wersje bohaterów w konwencji chibi albo w ogóle nie posiada żadnej wartości – ani artystycznej, ani komicznej. Co prawda kostiumolodzy w filmie sprawili się nadzwyczajnie dobrze, zwłaszcza w kreowaniu ubioru Kapitolińczyków, ale niektórzy graficy są w stanie sprostać naszym oczekiwaniom nawet po obejrzeniu filmu – za przykład posłuży mi MartAiConan. Potrafi doskonale oddać ruch i dynamizm, jej prace zachwycają lekkością i szczegółowością. Jedną z perełek przez nią stworzonych jest Katniss jako Kosogłos – trzeba jej to oddać, nawet sam Cinna byłby pod wrażeniem.



Viria 13 „Is this really the moment?”

A teraz kilka słów o fan artcie FNiN, chociaż naprawdę nie bardzo jest o czym mówić. Do tej pory udało mi się napotkać istotnie niewiele egzemplarzy. Często są to marne odwzorowania okładki stworzonej przez autora serii albo nawet bazgroły w zeszytach. Zdarzają się jednak pojedyncze prace, które są zupełnie znośne, a nawet – oryginalne.



MartAiConan „Katniss jako Kosogłos”



Może jednak warto poczekać? Albo zachęcić zdolnych rysowników do stawienia czoła tak wymagającemu zadaniu? Na razie cieszymy się z tego, że autor nadal ma siłę tworzyć nowe rozdziały i okładki.

FNiN_addict

Gdybanie o przygodach FNiN-owych z zachętą

Każdy z nas, od momentu rozpoczęcia przygody z serią Felix, Net i Nika, z pewnością podziwiał opisywany przez Rafała Kosika świat - akcję, przyjaźń i zgranie bohaterów, oraz ich umiejętność intelektualnego wyjścia z każdej sytuacji. Kładąc się do łóżka marzymy o konstruktywnym wykorzystywaniu każdego kawałka czasu w towarzystwie przyjaciół, przeżywając niezwykle przygody. Czy kiedykolwiek zadawaliście samym sobie pytanie „A co, gdybym to ja mógł być Felixem, Netem lub Niką?”. Uważam, że każdy z nas może w dużej mierze przekuć życie codzienne w fantastyczną opowieść.

Życie od dnia szkolnego do dnia szkolnego po pewnym czasie staje się monotonne i odbiera motywację. Jest na to rada – pasja. Tak właśnie, pasja. Według mnie, nasze życie, bez żadnego celu pozwalającego oderwać się od codziennego, bezbarwnego świata, jest co najmniej uciążliwe. Dlatego uważam, że należy wciąż odkrywać interesujące nas rzeczy. Być może zwiążemy z tym nasze przyszłe życie zawodowe, być może pozostanie to tylko w sferze prywatnej, ale i tak gwarantuje potężnego kopa motywacji.

Felix poświęcił się robotyce, Net informatyce... My też możemy żyć szczęśliwie, właśnie dzięki poświęceniu się własnym zainteresowaniom. Pasja jest silniejsza niż jakkolwiek istniejąca na świecie maszyna czy instytucja. Widzimy to na przykładzie przygód bohaterów – przyjaciele, mimo nie zawsze korzystnych warunków, pokonują wszystkie przeszkody, połączeni przyjaźnią i wspólnym czynnikiem – totalnym zaangażowaniem we własne zainteresowania i to, co robią.

Dlaczego nie brać przykładu z opisywanej trójki i nie podążyć za głosem serca? Ja znalazłem swoje ziarenko ciekawości, które przemieniło się w przejściowe stadium - hobby, a teraz z pewnością mogę nazwać je pasją. W końcu za czym, jeśli nie za pasją, przemierza się wzdłuż i wszerz cały kraj i spędza godziny dziennie wertując wszelkie źródła informacji aby znaleźć jej osnowę, to co nas pociąga i interesuje? Zapytacie – „jaka jest Twoja pasja?”. Moją pasją są fortyfikacje. Tak, pospolite wbrew

pozorom bunkry i schrony, ogółem rzecz biorąc architektura obronna. Dzięki niej znalazłem prawdziwych przyjaciół i rozwijam swoją wiedzę, intelekt, tryskam motywacją, do tego poznaję nowe doświadczenia - z pewnością jednym z takich jest noc spędzona trzydzieści metrów pod ziemią, w imponującej wielkości systemie podziemnym Trzeciej Rzeszy.

Zachęcam was więc do próbowania wszystkiego po trochu, jeśli jedno okaże się nieciekawe, wciąż warto próbować, bo w końcu trafimy na coś, co nada naszemu życiu głębszy sens. Czyż nie to właśnie podziwiamy w bohaterach serii Felix, Net i Nika? Czy to nie pasja sprawia, że brniemy jeszcze wyżej i pokonujemy kolejne, postawione nam przez los poprzeczki?

Magix Slayer

Stary o młodych, młodzi dla starych

Ja... ja naprawdę w tej chwili nie bardzo wiem, kim jestem, proszę pana. Mogłabym powiedzieć, kim byłam dziś rano, ale od tego czasu musiałam się już zmienić wiele razy.

LEWIS CARROLL „ALICJA W KRAINIE CZARÓW”

O fenomenie serii Rafała Kosika można czytać regularnie. Zachwył od lewa do prawa, od *Wprost* do *Polityki* i z powrotem – chyba doczekaliśmy się autora na miarę Niziurskiego, czy Nienackiego. „Serce roście” chciałoby się powiedzieć za poetą, patrząc na powszechność komplementów, z którymi trudno się zgodzić. Dobrze napisana książka plus inteligentna młodzież... wysokie pozycje *Felixa, Neta i Niki* na listach bestsellerów nie mogą dziwić. Dziwić może coś innego.

Kiedy pierwszy raz, przypadkiem, odwiedziłem forum.fnin.eu spodziewałem się czytać wypowiedzi, budujące wprawdzie, ale jednak osób między trzynastym a piętnastym rokiem życia – odpowiadającym wiekowi bohaterów. Nie trzeba chyba wyjaśniać mojego zaskoczenia, kiedy odkryłem, że średnia wieku

aktywnych użytkowników sugeruje obecność raczej licealno-studenckich niż podstawówkowo-gimnazjalnych osobników. Co tak niezwykle jest w twórczości Rafała Kosika, że sięgamy po nią niezależnie od wieku? A może coś niezwykle jest w nas?

Tempus fugit...?

Znaczna część moich forumowych rówieśników zaczęła swoją przygodę z *Felixem, Netem i Niką* jeszcze w gimnazjum. W pewnym stopniu tłumaczy to dalsze zainteresowanie serią – *sentyment, bo to od FNiN zaczęłam czytać nałogowo (...) i jestem ciekaw czy coś się wyjaśni w kilku sprawach* – odpowiada na moje pytania jeden z moderatorów. Ale czy to wystarczy, żeby pozostać wiernym książkom przez 5 lat? Osobiście, mniej więcej tyle lat temu przeżywałem fascynację *Eragonem*, którego już po roku nie byłem w stanie wziąć do ręki, chyba że w charakterze komediowo-rekreacyjnym.

Pan Kosik trzyma czytelników w dużej niepewności, co nie powinno sprzyjać sentymentom. W przeciwieństwie do *Harry'ego Pottera*, wywołującego nostalgię chyba w całym moim pokoleniu, nie mamy do czynienia z zamkniętą serią czy z góry znaną ilością tomów i stałą pulą motywów przewodnich. W każdym kolejnym tomie *Felixa, Neta i Niki* otwierają się nowe wątki, a stare giną. Trudno stwierdzić, na które z zagadek autor udzieli odpowiedzi, a które pozostawi wyobraźni czytelników.

Co więcej, w przypadku serii J.K. Rowling bohaterowie starzeli się niewiele wolniej od czytelników, natomiast u Rafała Kosika postaci zdają się od pewnego czasu stać w miejscu. Taka konstrukcja fabuły powinna zachęcić czytelników do powiedzenia sobie w pewnym momencie: starczy tego dobrego. Nie dość, że tak się nie dzieje, to jeszcze dorosłych (a przynajmniej pełnoletnich) fanów FNiN przybywa.

Polowały się lzy me czyste, rzęsiste...

Sam zacząłem moją przygodę z serią w wieku poważnym i do poważnej literatury zobowiązującym – lat osiemnastu. Przymusiła mnie do tego nuda panująca w autobusie

jadącym przez całą Polskę po przekątnej. Własne zasoby książkowe uległy wyczerpaniu gdzieś na wysokości Warszawy i skazany byłem na łaskę i niełaskę mojej nieco młodszej towarzyski podróży (która zresztą nieodpowiedni wiek nadrabiała bardzo odpowiednią urodą). Wtedy przeczytałem, a w zasadzie pochłonąłem, *Trzy Kuzynki*.



Początkowo także tłumaczyłem sobie fascynację *Felixem, Netem i Niką* sentymentem. Chociaż moje gimnazjum do najsympatyczniejszych miejsc na świecie nie należało, z przyjemnością przeżywałem raz jeszcze pierwsze uniesienia serca, znów marzyłem o przygodach na miarę paczki. Wydawało się, że mało brakowało, a skończyć jak Proust – wcielając się we własną przeszłość na tyle, żeby napisać siedem tomów skomplikowanej powieści o przemijaniu. Zachęcony wizją zostania klasykiem literatury natychmiast ruszyłem na poszukiwanie godnych Rafała Kosika przedstawicieli beletrystyki młodzieżowej, zdolnych przenieść mnie do „kraju lat dziecińczych”. Tu niestety spotkało mnie rozczarowanie – mimo przeczytania niezliczonych *Centurów*, *Percych Jacksonów* i innych bestsellerów empiku, „efekt Kosika” nie chciał pojawić się ponownie. Pozostało mi niecierpliwe czekanie na kolejne części serii, niczym na dostawę świeżej heroiny, pozwalającej mi odkryć nowe rejony siebie. Musiałem pogodzić się z faktem, że *Felix, Net i Nika* wkroczyli w moje życie za pomocą czegoś więcej niż przywoływanym wspomnień.

Lekcja stylu

Ona jest po prostu napisana w taki sposób, że każdy może ją czytać. Sam Rafał mówił np. że stara się dobierać słowa „uniwersalne”, ponadczasowe. Może podobnie jest z wiekiem – odpowiada na moje pytanie o swoją

niemijającą słabość do cyklu użytkownika forum. I chyba trudno się z nią nie zgodzić. To właśnie styl i ciekawa konwencja sprawia, że niezależnie od tego kiedy sięgniemy po Felixa, Neta i Nikę, nie odejmiemy od lektury zniechęceni. Rafał Kosik nie ma ambicji przedstawienia ludzi takimi, jacy są rzeczywiście – z całą złożonością ich psychiki. Dzięki temu unika błędu późnej J.K. Rowling, u której Harry Potter z odważnego nastolatka coraz bardziej zaczął stawać się emocjonalnie niedojrzałym bohaterem z przypadku. Chodzi o to, żeby ta książka nie była śmieszna. Znaczący się, żeby była śmieszna, ale nie w ten sposób niezamierzony – przyznał Rafał Kosik w ostatnim wywiadzie dla RMF Classic. Tę wypowiedź można chyba rozszerzyć poza pole „uniwersalizmu słownego”. Konwencja Felixa, Neta i Niki jest nieco molierowska – poboczni bohaterowie są często budowani w oparciu o kilka wyolbrzymionych cech, bawiąc w ten sposób młodszych, a starszym pozwalając na dostrzeżenie społecznej satyry w postaciach takich jak ciotka Amelia, czy Ilona Bogucka.

Również tytułowa paczka, mimo bardziej skomplikowanej konstrukcji psychicznej, nie ma tendencji do snucia długich monologów i rozmyślań. Poznajemy ich raczej po zachowaniach, a smaczku rzeczywistości dodają pozornie sprzeczne cechy – pewny siebie, bezczelny Net w związku z nieco romantyczną Niką, jak się wydaje, jest przez rudowłosą piękność zdominowany. Nieporadny w życiu osobistym Felix, w sytuacjach podbramkowych podejmuje szybkie i rozsądne decyzje, działając z zimną krwią.

Ta „dwoista” budowa postaci rozwiązuje większość problemów, z którymi starszy czytelnik musi się mierzyć czytając literaturę młodzieżową. Bardziej niż na osobowości bohaterów skupiamy się bowiem na szybko płynącej akcji, nabieramy dystansu do wykreowanych postaci, nie oczekując od nich nieosiągalnego realizmu. Rafałowi Kosikowi udaje się ustrzec przed kiczem, dzięki puszczaniu gombrowiczowskiego oka do czytelnika – to tylko książka, zdaje się pisać, ale czy rzeczywistość tak bardzo się od niej różni?

Fileas

O historii robotów słów kilka

W serii „Felix, Net i Nika” Felix jest, podobnie jak ojciec, wynalazcą. Pasjonuje się majsterkowaniem i z pomocą Neta stworzył robota – Golema-Golema. Ten, choć jest mniej kontaktowy niż Manfred, to jednak potrafi naśladować ludzi, wykonywane przez nich czynności (w jednym z tomów pojawia się scena, gdy Golem-Golem pomaga przy przygotowywaniu obiadu) i uczestniczyć w codziennym życiu, niemalże jako członek rodziny. Jednakże każdy czytelnik zdaje sobie sprawę, że w książkach autor ironicznie przedstawia rzeczywistość, nagina ją i wybiega w przyszłość. Tak zaawansowany program AI jak Manfred nie istnieje. A co z robotami? Czy istnieją takie jak Golem-Golem? Jaka jest przeszłość robotyki?

Historia robotów sięga dalej niż większość ludzi sądzi. Nie jest to XX czy XIX wiek, ani nawet n.e. Pierwsze przekazy historyczne podają, iż w 350 r. p.n.e, grecki matematyk Archytas z Tarentu zbudował mechanicznego ptaka, napędzanego parą wodną. Nazwany „Gołębiem”, wedle przekazów potrafił latać. Kolejnym wartym wzmianki robotem jest projekt Leonarda da Vinci z 1495r. Urządzenie wyglądało jak rycerz w zbroi, a mechanizmy w jego wnętrzu sprawiały, że robot się poruszał. Prawdziwym osiągnięciem było stworzenie w 1525r. androida-kobiety, Torriano, który potrafił grać na lutni. Zbudowana przez Gianello Torriano z Cremony, istnieje ona do dziś, a znajduje się w Kunsthistorisches Museum w Wiedniu.



Później tworzono przeróżne urządzenia. Maszyny do liczenia, mechanicznych ludzi grających na różnych instrumentach, umięjących pisać i rysować.

Swoistym przełomem był rok 1940, kiedy to Isaac Asimov rozpoczął pisanie serii powieści o robotach dla magazynu Super Science Stories. Pierwsza z nich, „A Strange Playfellow” (później pod nazwą "Robbie"), opowiadała o robocie, który poczuł przywiązanie do chłopca, którego miał chronić. Przez kolejne 10 lat Asimov napisał więcej opowieści o

robotach, które ostatecznie zostały zebrane w tomie zatytułowanym „I, Robot” (1950). Asimov przyczynił się do popularyzacji słowa „robotyka”, które po raz pierwszy użył w swojej powieści „Runaround” w 1942 roku. Jednakże najistotniejszy jest fakt, znany nam z serii „Felix, Net i Nika”, że stworzył ona prawa robotyki:

1. Robot nie może skrzywdzić człowieka, ani przez zaniechanie działania dopuścić, aby człowiek doznał krzywdy.
2. Robot musi być posłuszny rozkazom człowieka, chyba, że stoją one w sprzeczności z pierwszym prawem.
3. Robot musi chronić sam siebie, jeśli tylko nie stoi to w sprzeczności z pierwszym lub drugim prawem.

Kolejne prawo zostało dodane przez Asimova później, znane jako nadrzędne (tzw. prawo zerowe): Robot nie może skrzywdzić ludzkości, ani przez zaniechanie działania doprowadzić do uszczerbku dla ludzkości.

Obecnie roboty mają bardzo szerokie zastosowanie. Wciąż jeszcze rzadko są w domach (wyjątkiem można zwać dom Felixa), ale mają swoje zastosowanie w przemyśle gospodarczym, w rozrywce. Używane są do rozbrajania bomb lub jako zwiadowcy. W 2012 roku na uniwersytecie McGill odbyła się pierwsza na świecie operacja chirurgiczna przeprowadzona wyłącznie z użyciem robotów. Robot-chirurg da Vinci i robot-anestezjolog McSleepy były sterowane przez prawdziwych lekarzy. Od początku do końca operacji, wszystkie czynności chirurgiczne zostały wykonane zdalnie.

Roboty są przyszłością ludzkości. Już teraz wiele prac, do tej pory wykonywanych przez ludzi, zostało przejętych przez roboty. Wykonują one monotonne zajęcia przez cały czas, z taką samą dokładnością i precyzją. Udział w medycynie może pozwolić na skuteczne leczenie chorób i bezpieczniejsze przeprowadzanie operacji. Rozwój robotyki stwarza wiele nowych możliwości. Jednakże największą obawą ludzi jest, że kiedyś ich dzieła mogłyby się wyrwać spod kontroli i złamać prawa robotyki. Na ten temat powstało już wiele książek i filmów. Ale to już temat na inny artykuł...

Justilla

Sięgnijmy gwiazd – naszego własnego rozwoju

Człowiek wciąż się rozwija, co więcej, w większości przypadków jest to świadomy rozwój. To dzięki ludzkim umiejętnościom i podejmowaniu ryzyka tworzymy nowe technologie oraz rozwijamy wiedzę w różnych dziedzinach. Jeśli byśmy chcieli, moglibyśmy nadal żyć na drzewach. Nam to jednak nie odpowiadało i nadal nie odpowiada. Kształcimy się, tworzymy i przemieniamy nasz świat. Sami jesteśmy elementem prawie stałym, niezmiennym, istniejącym w podobnej formie szmat czasu. Owszem, jesteśmy ciągle poddawani pewnym nieświadomym zmianom, w których najbardziej wyróżniają się przemiany biologiczne. Tylko, że nawet ten rozwój biologiczny nie powoduje w naszym ciele zbyt wielkich przeobrażeń. Nie zauważamy takich zmian, które odmieniałyby sposób naszego życia.

Załóżmy więc, że mamy możliwość cofnięcia się w czasie. Założenie jest tylko po to, by udowodnić pewną tezę – w samym obrębie logicznym – gdyż, jak wiadomo, podróże w czasie na razie nie są możliwe. Cofamy się więc do czasów prehistorycznych, w których człowiek nauczył się wytwarzać pewne narzędzia. Szukamy tam niemowlaka, który dopiero się urodził i zabieramy go do naszych czasów. Po uodpornieniu go na choroby naszych czasów, oddajemy go na wychowanie jakiejś rodzinie. Odczekujemy jakieś 30 lat i sprawdzamy co się z nim dzieje. Przypuszczalnie będzie radził sobie równie dobrze jak reszta zwykłego społeczeństwa. Zapewne będzie się trochę wyróżniał wyglądem czy pewnymi możliwościami fizycznymi, ale będzie mógł normalnie funkcjonować w naszym społeczeństwie. Wniosek: zachodzące nieświadome zmiany biologiczne, które możemy nazwać ewolucją są ledwie zauważalne i zbyt wolne.

W porównaniu do szybkości rozwoju naszej technologii, tempo ewolucji pada w przedbiegach. Nasze potrzeby rozwojowe są dużo większe. Chcielibyśmy człowieka tak samo rozwiniętego jak technologia, którą tworzy. Tutaj w sukurs idzie nam trans humanizm – nurt głoszący, że trzeba dopomóc ewolucji

własnymi siłami. Chodzi tu o wykorzystanie osiągnięć technologii i biologii, by zwiększyć nasze możliwości fizyczne i umysłowe. Pomysły podsuwające sposoby na osiągnięcie celu są niezwykle różnorodne. Pisarze sci-fi wprost prześcigają się pomysłami. Jednymi z najpopularniejszych teorii „jak sięgnąć gwiazd”, ulepszając nasze ciało, są zabawa genami oraz cyborgizacja człowieka. Jednak nasz stan wiedzy jest zbyt niski, byśmy mogli spekulować czy jest to możliwe, czy nie.

Posiadamy jak na razie niewielki wycinek wiedzy z ogromu, jaki oferuje nam wszechświat. Nawet najlżejsza forma cyborgizacji, zwiększająca kilkakrotnie nasze możliwości, którą zaprezentował pan Rafał Kosik w powieści „Felix, Net i Nika oraz Teoretycznie Możliwa Katastrofa”, czyli komplant, jest w najbliższym czasie nieosiągalna. I raczej w ciągu najbliższych dziesiątek lat a nawet wieków się to nie zmieni. Komplant jest urządzeniem umieszczonym w pewnym fragmencie mózgu, nawiązującym współpracę z nim i zwiększającym jego możliwości. Jednakże, żeby to było możliwe, trzeba poznać w stopniu całkowitym pracę mózgu. A my na razie nawet nie możemy się pochwalić jakim procentem wiedzy o nim dysponujemy. Po prostu nie mamy bladego pojęcia, jakie własności może skrywać ten narząd, nie mówiąc już o ich zrozumieniu.

Nie wiedząc, ile odkryć przed nami, nie możemy przypuszczać, kiedy uda nam się to osiągnąć, ale na pewno nie będzie to prędko. Mózg to zbyt skomplikowane urządzenie. A zrozumienie działania jest tylko jednym z wielu kroków niezbędnych do zbudowania komplanta. Musielibyśmy jeszcze zapewnić między tymi urządzeniami jakieś połączenie i zmusić je do współpracy. Na każdym kroku napotykamy coraz to nowe przeszkody, a o wielu możliwych problemach nie mamy nawet pojęcia. Skomplikowane jest również zmienianie DNA dla naszych potrzeb (choć tu mamy już jakieś znaczące postępy, ale mimo wszystko niewystarczające), a przy tym jest ono dużo niebezpieczniejsze, gdyż, w przeciwieństwie do cyborgizacji, zmiany te wpłyną na następne pokolenia.

Mimo dużych trudności jest możliwe osiągnięcie tak zaawansowanych technologii, choć wymaga to olbrzymiego nakładu czasu i wysiłku. Trzeba więc próbować tego dokonać, by przynajmniej nowe cywilizacje, jakie po nas nastaną mogły się cieszyć albo i martwić tymi wynalazkami. Gdyż tak jak wszystko, ma to swoje minusy. Pod tym względem pisarze sci-fi również się popisali, tworząc tyle teorii, że aż trudno wymienić je wszystkie. Zapisanie pomysłów rozwoju naszych ciał zajmuje tysiące stron, a nawet rozpiska ujemnych skutków przewyższa tę ilość parokrotnie. Spróbuję jednak przedstawić teorie, które mnie najbardziej zaintrygowały.

Przykładowo nadanie prawie-boskich mocy może skutkować stworzeniem człowieka tak pysznego i zadufanego w sobie, że nie będzie przejmował się konsekwencjami swych działań. Przez co, mówiąc krótko, może doprowadzić do zagłady naszej planety. Stworzenie takich technologii będzie miało jednak także znaczenie socjologiczne. Nie wszyscy przecież będą chcieli skorzystać z możliwości rozwoju, z powodu lenistwa czy strachu przed nieznanym. Człowiek ma wolną wolę, więc może wybierać, co mu odpowiada. Wywoła to brak równowagi między ludźmi z wyższych klas, którzy poddali się cyborgizacji, zwiększając swą inteligencję, a zwykłymi ludźmi. Zapewne wśród tych poddających się nurtowi rozwoju niewielu będzie filantropów, a więcej tych, którzy z chęcią wykorzystają opierających się temu nurtowi. Cóż, ci nie mający tak rozbudowanych możliwości, będą mieli ograniczone pole obrony przed uciskiem.

Koniec końców, ludzie, którzy są wierni naturalizmowi, zostaną odepchnięci od zmienionego świata. A opieranie się wymuszonej ewolucji nie jest przecież grzechem, za który trzeba ludzi tak karać. Jeśli chcesz żyć w takim świecie normalnie, to nie masz wyboru, musisz poddać się nurtowi rozwoju. Sięgając gwiazd można się sparzyć, co nie oznacza, że tylko ci co ich sięgali będą cierpieć.

CezariXen

KSIĄŻKI I RECENZJE

Igrzyska śmierci - książka vs. Film

W tym akurat wypadku najpierw obejrzałem film, a dopiero później po kilku miesiącach przeczytałem książkę. Przy tak dobrym filmie trudno było uwierzyć, że książka okaże się lepsza – a jednak...

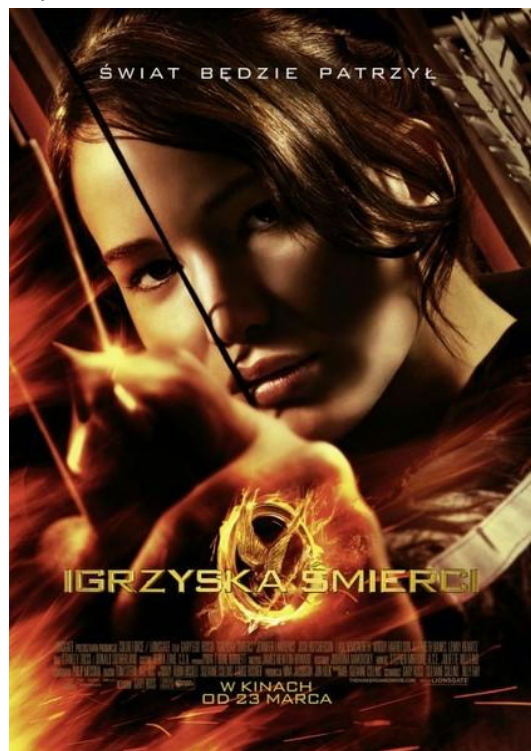
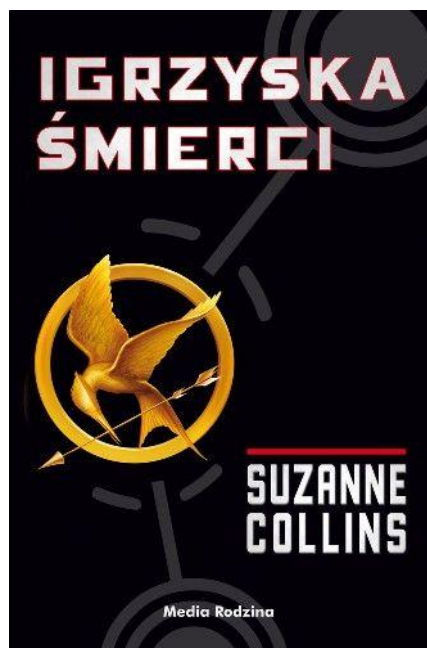
Nie była równie dobra jak film – przewyższała go kilkakrotnie! Muszę przyznać, że już dawno nie miałem w ręku lektury, która by mnie tak zachwycała i nie pozwoliła na oderwanie się aż do ostatniej strony. Film owszem, był świetnie zrealizowany, ale nie oddawał w pełni klimatu książki. Reżyser nie miał po prostu na to czasu.

Szczegółowe opisy rozterek moralnych bohaterów, Panem, Kapitolu... musiały zostać pominięte. Na wielkim ekranie stroje mieszkańców Kapitolu, a także Katniss i Pety, mimo ogromu dziwactwa i fikuśnych szczegółów, zostały bardzo dobrze zobrazowane i w pełni odpowiadają opisom. Trzeba przyznać, że garderobiani mieli niemało roboty.

Ekranizacja "Igrzysk śmierci" jest świetna, ale z oczywistych powodów reżyser nie mógł żywcem przenieść wszystkiego z książki. I tak film jest wyjątkowo długi jak na dzisiejsze standardy (prawie 2,5 godziny). Zachęca to widza do przeczytania książki, aby dowiedzieć się więcej i zrozumieć pewne fakty. Szczegółowa w swoich opisach lektura, często pozostawia główny wątek, jedynie by przybliżyć codzienność mieszkańców Panem i XII dystryktu.

Zarówno w książce jak i filmie fabuła jest dopracowana i nie zawiera żadnych błędów.

Autorka umiejętnie buduje nastrój i napięcie ukazując bez pośpiechu losy bohaterów. Popisuje się wyobraźnią opisując wygląd i wymyślne stroje mieszkańców Kapitolu. Wymyśla ciekawą historię państwa Panem, która doprowadziła do rozgrywania Głodowych Igrzysk. Z nazwą państwa związana jest jedna ciekawostka. Nawiązuje ona wraz z igrzyskami do starożytnego, rzymskiego hasła: *panem et circenses*, które oznacza: chleba i igrzysk. Widzicie już skąd wzięta się nazwa kraju? W starożytnym Rzymie, tak jak i w Panem, igrzyska służyły zachowaniu spokoju w państwie i utrzymaniu społeczeństwa w ryzach.



Wydawałoby się, że Suzanne Collins opisuje państwo i okrucieństwa, do których człowiek nie byłby zdolny. To świat totalnej inwigilacji, zastraszania obywateli i izolacji między dystryktami. Współczesnym taka sytuacja wydaje się niemożliwa, ale czy nie tak też myśleli nasi przodkowie przed II wojną światową? Dlatego ta książka jest jednocześnie przestrożą. Ten scenariusz niestety jest możliwy, przecież już w tej chwili jesteśmy non stop obserwowani w Internecie, przez kamery w sklepach i centrach miast, przez operatorów

telefonów komórkowych i kto wie przez kogo jeszcze. Ta opisana przyszłość wcale nie jest taka nierealna jakby się nam wydawało, dlatego warto się nad tym zastanowić.

Wracając do głównego tematu: co jest lepsze – książka, czy film. W tym, jak i w wielu innych przypadkach lepsza okazała się książka, chociaż film jej wiele nie ustępuje. Żeby oddać niesamowity klimat dzieła Suzanne Collins ekranizacja musiałaby trwać przynajmniej pięć godzin. Filmu broni znakomicie dobrana obsada i doskonała gra aktorska. „Igrzyska śmierci” na wielkim ekranie, nie ustępują wiele tym papierowym - książka zwyczajnie opisuje o wiele więcej zdarzeń. Samo obejrzenie filmu nie wystarcza, aby dokładnie zrozumieć przesłanie dzieła, dlatego przeczytanie książki jest wręcz niezbędne.

Moja ocena:

- książki: 10/10
- filmu: 9/10

drzewo148

Recenzja: „Faceci w czerni 3”

Trzecia część „Facetów w czerni” jest czymś pomiędzy sequelem, a prequelem. Wprawdzie akcja zaczyna się kilka lat po wydarzeniach z drugiej części, jednak przez większość filmu toczy się w roku 1969, chociaż głównym bohaterem nadal jest „teraźniejszy” agentem J. Wiele wątków z poprzednich części, związanych z młodością K, zostaje wyjaśnionych. Film, mimo tego, że ukazał się po wielu latach, nadal jest dobry.

Dobry... ale pod jednym warunkiem: żeby wczuć się w klimat trzeba znać poprzednie części. Ci, którzy ich nie oglądali zobaczą jedynie średnio ciekawy film akcji z domieszką specyficznego humoru. Wiele wątków niestety pozostanie niezrozumiałymi. Również dla fanów serii produkcja nie wytrzyma porównania z częścią pierwszą. Mamy mniej akcji, mniej kosmitów... Za to więcej rozwiązywania zagadek z przeszłości.

Oczywiście cechą charakterystyczną pozostają nawiązania do popkultury i tekstów, które mogą stać się kultowymi. Jeśli w pierwszej części dowiedzieliśmy się, że „Elvis nie umarł. On tylko wrócił do domu”, to teraz możemy się

przekonać, że Andy Warhol jest w rzeczywistości obawiającym się szaleństwa agentem W, który pragnie upozorować własną śmierć. Dialogi są dopracowane, widzowi towarzyszy specyficzny humor, pojawiają się również wypowiedzi skłaniające do przemyśleń. „Nie zadawaj pytań, na które nie chcesz znać odpowiedzi”. Takie proste zdanie, a ile w nim mądrości.

Niewątpliwie stałym atutem filmu jest duet: Will Smith (J) i Tommym Lee Jones (K). Moim zdaniem Josh Brolin sprawił się doskonale grając młodego K. Świetnie oddaje klimat tamtych czasów, zachowując jednak swój własny styl. A co można powiedzieć o głównym ciemnym charakterze? Są dwie opcje: albo mieli świetnego charakteryzatora, albo świetnego specja od animacji komputerowej. Wygląd na filmie jest tak daleki od rzeczywistości, że aż trudno uwierzyć, że to ten sam człowiek.

W skrócie: dobry film dla fanów „Facetów w czerni”, inni nie mają po co iść na film (chyba, że mają za dużo kasy).

Moja ocena: 7/10

drzewo148



„Baśniobór” – z serii książek „Nie tylko dla dzieci”

W Polsce ukazały się (jak na razie) trzy części, na świecie jest ich pięć. Każda była na pierwszym miejscu listy bestsellerów New York Timesa, po kilka razy na liście najlepiej sprzedających się książek dla dzieci w Empiku. No właśnie, tylko dla dzieci? Sięgnęłam po tę książkę z regału dla „młodszej młodzieży”, ponieważ jak przystało na fankę fantastyki, zaintrygował mnie tytuł i nawet - uwaga - obrazki w środku. Ale był to strzał w dziesiątkę.



Głównymi bohaterami są 15-letnia Kendra i 12-letni Seth, rodzeństwo. Nie, proszę się jeszcze nie zniechęcać. Ich rodzice wybierają się w podróż, a oni zostają wystani na farmę dziadków. Nie mieli z nimi bliskiego kontaktu i nie wiedzą, czego się

spodziewać. Po przyjeździe dziadek wita ich serią zakazów i nakazów - praktycznie nie wolno im wychodzić z domu, a nawet z pokoju. Dostali jednak zagadkę, którą dość szybko udało im się rozwiązać. Znaleźli Dziennik Sekretów, w którym był tylko jeden napis - „wypijcie mleko”. Po zastanowieniu doszli do wniosku, że chodzi o mleko rozstawiane w ogrodzie dla motyli - to, którego nie wolno im pić. Postanowili jednak spróbować. Wtedy zobaczyli oryginalne postacie wszystkich owadów w ogrodzie, które okazały się wrózkami i innymi magicznymi postaciami. Dziadek wyjaśnił im, że las to ich rezerwat i to

jest prawdziwa przyczyna, dla której nie wolno im było wychodzić. Po niewróżącym nic dobrego początku rozpoczyna się właściwa akcja, ponieważ w Baśnioborze żyją istoty nie tylko tak nieszkodliwe i przyjemne jak wróżki. Cały rezerwat rządzi się



zasadą „oko za oko, ząb za ząb”, a nierozsądny Seth zasłużył na zemstę wielu istot.

Polecam tę serię wszystkim, którzy lubią fantastykę i baśnie. Jak napisał jeden z krytyków: „[...] żałuję, że nie przeczytałam tej książki, kiedy byłam dzieckiem.”. Jednak lepiej późno niż wcale; myślę, że nawet ci najbardziej dorośli też nie będą się nudzić. Ja nie mogłam się oderwać dopóki jej nie skończyłam, a potem zerwałam się i pobiegłam do księgarni po następną część. Jest napisana przyjemnym językiem, czyta się szybko i łatwo, autor ma świetne poczucie humoru, tematyka jest ciekawa, a akcja wciągająca. Czego chcieć więcej? Czasem dobrze jest odpocząć od poważnych książek o poważnych ludziach i poważnych problemach, a przeczytać coś takiego. To JEST książka dla dzieci, ale bynajmniej nie działa to na jej niekorzyść.



Karmel

Gra o Tron - omówienie

Popularność cyklu powieści pt. „Pieśni Lodu i Ognia” stale rośnie. Być może dzieło George R.R. Martina zawdzięcza to całkiem udanemu serialowi produkcji HBO, albo dwóm grom komputerowym (jedna z nich miała swoją premierę całkiem niedawno). Tego nie wiem, lecz uważam, że nawet bez tego całego szumu wokół sagi, kolejne powieści z serii odnosiłyby sukcesy.

„Gra o Tron”, pierwsza część cyklu ukazała się szesnaście lat temu - w 1996 roku, czyli pięć lat po tym jak autor rozpoczął pracę nad nią. Martin, znany wcześniej z opowiadań i powieści łączących klimaty horroru i science fiction za swoje nowe „dziecko” od razu otrzymał nagrodę Locusa (nie tak prestiżową jak Hugo czy Nebula, ale mimo wszystko ważną) w kategorii najlepsza powieść fantasy roku. Tę samą nagrodę - w tej samej kategorii -

zdobył trzy lata później drugi tom cyklu, czyli „Starcie Królów”, a następnie „Nawałnica Mieczy”. Także następne części cyklu spotkały się z uznaniem krytyków i – co najważniejsze – czytelników.

Nie przedstawię tu sylwetki głównego bohatera, a powód tego jest prosty. Głównego bohatera nie ma. Świat obserwujemy oczami wielu bohaterów, choć, przynajmniej w pierwszej części cyklu, znaczna ich część pochodzi z rodu Starków (Ned, Bran, pośrednio Catelyn, Arya czy Jon), ale także Lannisterów (Tyrion oraz później Jaime) i Targaryenów (Daenerys). W kolejnych częściach liczba przewodników po świecie Westeros zwiększa się. Mimo to jednak, kilku bohaterów wyróżnia się.

Jon Snow jest bękartem Eddarda Starka. Marzy o służbie na Murze, który oddziela Siedem Królestw od mroźnego kraju dzikich i chroni kraj przed ich najazdem, chociaż w chwili jego powstania miał czuwać nad tym, by południe nie zostało zalane falą Innych, zimnych istot lodu. To jednak stare dzieje, a właściwie legenda, w którą nikt nie wierzy. Wracając do naszego bękarta, w wyniku splotu wydarzeń lord Stark zmuszony jest wysłać go do Nocnej Straży, tym samym spełniając jego marzenie. Czternastoletni Snow przeżyje szok, kiedy pozna prawdę o „szlachetnej” służbie w Nocnej Straży.

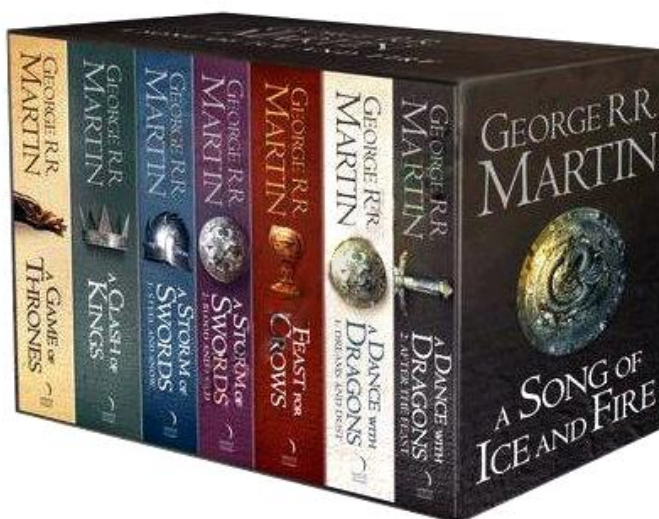
Daenerys, ostatnia, nie licząc jej brata, Viserysa, potomkini rodu Targaryenów, dawnych władców Siedmiu Królestw, a obecnie czternastolatka żyjąca w jednym z Wolnych Miast na koszt bogatego Ilyrio. Niedługo ma poślubić khała Drogo, władcę dothraków, ludu miłującego konie. Podyktowane jest to ambicjami jej brata, który chce odzyskać swoje dziedzictwo z pomocą wojsk khała. Warto dodać, że jej wewnętrzna przemiana jest chyba najlepiej poprowadzonym wątkiem w całej książce.

Ważnym bohaterem jest też Tyrion Lannister, karzeł pochodzący z najpotężniejszego i najbogatszego rodu w całym królestwie. Sprytnie radzi sobie w wielu, zupełnie różnych sytuacjach. Jego wątek także plasuje się w czołówce, jeśli chodzi o poziom zaciekawienia czytelnika.

Chociaż większość potraktuje Eddarda Starka, przez przyjaciół zwanego Nedem, jako głównego bohatera, to pod koniec pierwszego tomu czeka ich zaskoczenie. Honorowy i zaprawiony w bojach mąż był jednym z przywódców buntu, który doprowadził do zrzucenia z tronu Szalonego Króla, i posadzenia na nim coraz roślejszego tyłka swojego przyjaciela Roberta.

Tutaj wszyscy knują, każdy snuje swoje intrygi. W pewnych momentach jest to posunięte do tego stopnia, że trzeba sprawdzać w jednej z poprzednich części, co kto powiedział (spotkałem się z protestem co do tego zdania, ale mnie osobiście przydarzyło się to dwa razy, choć może wynikało to z odstępów pomiędzy czytaniem kolejnych części). Martin odwalił kawał porządnej roboty, a przed nim kolejne dwa obiecane tomy. Życmy mu więc zapału, oraz żeby jego proza i sposób narracji ciągle utrzymywały się na tym samym, niesamowicie wysokim poziomie, lub (choć wydaje się nieprawdopodobne by mogły) wzrastały.

Snorri





Część pierwsza - strzelanka wszechczasów

Na wstępie chciałbym serdecznie powitać Was, drodzy Czytelnicy, w nowej serii Retrogralnia. Jak można domyślić się po nazwie, opiewać ona będzie kultowe gry, w które „łupałem” będąc jeszcze małym brzdącem. Mam do nich sentyment, a liczba godzin, które przy nich spędziłem, z pewnością przekroczyłaby magiczną setkę.

W dzisiejszym numerze pragnę opisać jedną z najbardziej uwielbianych przeze mnie gier. Mimo licznych rozłąk, krótszych czy dłuższych, zawsze do niej wiernie wracałem, bowiem dawała mi ona całą masę rozrywki. Pod względem grywalności nie ma sobie równych, jest znana na całym świecie, a mimo dłuższego już czasu od jej rynkowej premiery, liczba graczy wbrew pozorom nie zmniejsza się. Być może ktoś z Was już odgadnął, o jakiej grze piszę. Oczywiście jest to Counter-Strike niemieckiego studia Valve.

Gra została wprowadzona na rynek w 2000 roku, jako modyfikacja do gry Half-Life. Została oparta na tym samym silniku GoldSrc i szybko podbiła serca graczy. Opiera się na sieciowej rozgrywce i interakcji między graczami. Counter-Strike jest dostępny poprzez platformę Steam, która pomaga kontaktować się ze znajomymi z wirtualnego świata i zarządzać biblioteką swojej kolekcji gier. Podstawą gry jest potyczka między dwoma przeciwnymi drużynami – terrorystów i antyterrorystów. Istnieje kilka trybów rozgrywki, między innymi typ „defuse” polegający na próbie podłożenia bomby i jej ewentualnego rozbrojenia przez drużynę przeciwną lub tryb „hostage rescue”, który zakłada odbicie zakładników z miejsca zajętego przez terrorystów.

W rozgrywce spotkać możemy liczne rodzaje uzbrojenia, czy to karabinów, pistoletów,

granatów poprzez noktowizor aż na kamizelce i hełmie kończąc. Dzięki nieskomplikowanej grafice i braku systemu „płać żeby wygrać” pozwalającemu kupować lepszy ekwipunek za prawdziwe pieniądze, wygrana zależy w większości od umiejętności graczy. Sprawiało to, że Counter-Strike stał się grą triumfującą na arenie międzynarodowych rozgrywek i występuje na wszelkich większych imprezach e-gamingowych. Graczom, którym znudził się standardowy tryb zabijania, jako rozwiązanie przychodzą liczne modyfikacje serwerów takie jak zombie mod, kreedz – wspinaczka, czy też systemy rozgrywki wzorowane na innych grach (diabło mod, poke mod, bf2mod, codmod).

Mimo swojego sędziwego wieku, ta niepozorna z początku pozycja wciąż przyciąga rzeszę graczy i nie ma problemu ze znalezieniem pełnych serwerów. Mam nadzieję, że przytaczając krótką historię i opis tej gry zachęciłem grono Czytelników, do choć szybkiego rzutu oka na tę grę, a sprawienie, by komuś też przynosiła niewątpliwą przyjemność byłoby dla mnie własnym, skromnym sukcesem. W następnym numerze postaram się przytoczyć przykład gry zupełnie innego rodzaju, aby usatysfakcjonować również tych, którzy nie zaliczają się do fanów strzelanek.

Magix Slayer



WIKIADMIN POLECA

Wiki dla każdego

Wakacje to oczywiście czas nieco wzmożonej aktywności użytkowników FanClubu, a ożywienie nie omija też Zarządu. Dlatego ten artykuł należy zaliczyć do serii ostatnich zdarzeń, które można by zatytułować „wikiAdmin przypomniał sobie, po co tu jest”. Tak, będzie oczywiście o WikiFNiN.

Już na wstępie chętnych do poznania historycznych dziejów, istniejącej już blisko cztery lata, WikiFNiN odsyłam właśnie do wiki lub też do mojego artykułu o historii FanClubu w drugim numerze „Magazynu”. Tutaj skupię się na teraźniejszości *otwartej encyklopedii o Felixie, Necie i Nice*.

Często pojawiają się pytania, komu ta wiki jest potrzebna, po co w ogóle zaprzętać sobie nią głowę.



A wiki jest właśnie **dla każdego**. Oczywiście, w przeciwieństwie do Wikipedii, najbardziej znanej strony typu wiki,

nie wykorzystamy WikiFNiN do odrobienia pracy domowej (no, może w bardzo wyjątkowych wypadkach, ale na pewno nie w wakacje), jednak z założenia ma ona służyć dużo ciekawszym zajęciom – jak na przykład szybkiemu i łatwemu przypomnieniu sobie konkretnej postaci czy miejsca. Dużo wygodniej jest sprawdzić w WikiFNiN co różni Szarych od Starszych, albo kim był sierżant Konopka, niż ponownie czytać całą książkę, by poznać tylko tę jedną rzecz. Jasne, ta druga opcja jest zdecydowanie przyjemniejsza, ale nie zawsze mamy czas i chęci na lekturę po to jedynie, aby przypomnieć sobie jedną informację.

Z własnego doświadczenia wiem też, że WikiFNiN przydaje się czasem przy organizacji konkursów, a i pan Kosik wspominał o korzystaniu z wiki w wywiadzie dla Radia Plus (to chyba jedyny wywiad, z którego nie ma kompletnego nagrania...). To tylko najoczywistsze zastosowania wiki, a na pewno nie jedyne.

Przejdźmy teraz do najważniejszego punktu: jak to działa? Z punktu widzenia zwykłego czytelnika zupełnie normalnie – wchodzisz, wpisujesz czego szukasz, czytasz, wychodzisz. Ale siła wszelkich wiki tkwi w przycisku „Edytuj”. Z prostego powodu: cała idea opiera się na społeczności – ludziach, którzy dobrowolnie edytując artykuły sprawiają, że encyklopedia jest obszerna i aktualna. I każdy, Ty też, może do nich dołączyć! Edytowanie wiki jest bajecznie proste, nie trzeba się nawet rejestrować. Wszystko, co powinieneś wiedzieć znajdziesz na kilku stronach pomocy albo wydedukujesz sam. Aby jeszcze ułatwić i sprawić rozbudowywanie WikiFNiN ciekawszym i przyjemniejszym, w wielu miejscach można natknąć się na wiadomości od Manfreda (za pomysł dziękuję Justi), który ma za zadanie dodatkowo w miły sposób podpowiedzieć, co należy zrobić oraz zachęcić do dalszej pracy.

Do edytowania WikiFNiN nie trzeba ani specjalnych umiejętności, ani nawet dużo czasu, nie musisz też świetnie pisać. W końcu wiki opiera się na społeczności, a pracując w grupie nie trzeba robić wszystkiego samemu. Ty zrób to, co wiesz i umiesz – popraw literówkę, uzupełnij braki w opisach, a jeśli możesz, napisz artykuł, albo chociaż jego załączek. Ty zrobisz część, ktoś zrobi część – i tak powstanie całość! To naprawdę nie wymaga o wiele więcej niż odrobinę chęci. A do zrobienia wciąż jest sporo. O ile artykuły o starszych częściach FNiN zazwyczaj potrzebują tylko niewielkich poprawek, tak o nowszych, jak „Bunt Maszyn” czy „Świat Zero”, nie ma prawie nic. Korzystając z tego, że mamy wakacje, a do tego zbliża się premiera nowej części, więc pewnie wiele osób będzie ponownie czytało już wydane tomy – gorąco zachęcam wszystkich do rozbudowywania WikiFNiN!

kam193

WWW.WIKI.FNiN.EU

FELIETONY

Czerń ciągle w modzie

Bynajmniej nie chodzi o kolor królujący na wybiegach. Czarne charaktery były od zawsze obiektem uwielbienia i nic się w tej kwestii nie zmienia. Bo zmienić się nie może. Jak bowiem nie ulec urokowi mrocznego i genialnego umysłu, ekscytującej brutalności i tajemniczego, podwójnego życia?

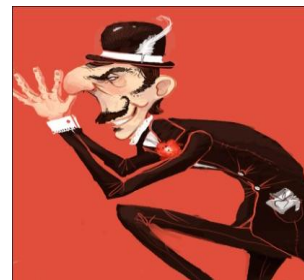
Fioletowa marynarka, zielone włosy, nieco rozmazany, ale charakterystyczny makijaż oraz nieodłączny, niepokojący sardoniczny uśmiech. Mowa oczywiście o Jokerze, jednym z najbardziej rozpoznawalnych komiksowych szaleńców. Znany między innymi z filmów *Mroczny Rycerz* oraz *Batman: Początek*. Przyciąga nie tylko wybuchy, typów spod ciemnej gwiazdy czy kłopoty, ale także rzesze fanów na całym świecie. I oczywiście kobiety. A na pewno jedną: Harley Quinn, kiedyś znaną w całym Arkham jako psychiatrę, później jako współwięzień. Poświęciła swoją karierę lekarską, reputację, osobowość i całe dotychczasowe życie, by oddać się na służbę fascynującemu zbrodniarzowi. Magnetyzm uśmiechniętego mordercy działa ze zdwojoną



siłą, jego słowa od razu stają się rozkazami, jego filozofia życiowa – Dekalogiem złoczyńców.

Jednak ostatnio renesans przeżywają superbohaterowie z komiksów, przywrócenie do życia w filmowych produkcjach. A co za tym idzie, powraca

również legenda ich prześladowców i przeciwników. Największą popularność zdobył nordycki bóg Loki. Nie tylko za sprawą charyzmatycznego aktora (Toma Hiddlestona), który wcielił się w postać zaadoptowanego przez Asgardczyków lodowego olbrzyma, ale także dzięki odpowiednio dopasowanym atrybutom oraz słynnemu *black hat's evil grin*. Mnie osobiście film nie przypadł do gustu, ale polecam piosenkę z soundtracku – *Live to rise* wykonaną przez zespół Soundgarden. Poza tym



zachęcam do obejrzenia innych filmów produkcji Marvel Studios.

Mitologia także wraca do łask, ożywiona przez znanego polconowym maniaka Jakuba Ćwieka. Seria *Kłamca*, która zdobyła ogromną popularność w ostatnich latach, została w tym roku zwieńczona wydaniem (być może) ostatniego tomu zatytułowanego *Kłamca 4: Kill'em all*. Autor wspominał o napisaniu jeszcze jednego tomu, ale to nieoficjalna wiadomość. Przejdźmy do sedna – gdzie tu czarny charakter? Wszędzie. Prawie każda z postaci posiada rysę na swoim nieskazitelnym wizerunku. Czy jesteś aniołem, archaniołem, bogiem, czy zwykłym śmiertelnikiem – słabości są częścią twojej osobowości, a kłamstwo potrzebne do egzystencji tak jak wierni do stworzenia kultu. Głównym bohaterem serii jest Loki (ktoś tu ma powodzenie!), który zawarł pakt ze sługami Boga, aby uchronić się przed losem podobnym pobratymcom i przy okazji zarobić trochę... anielskich piór. Co czyni protagonistę wyjątkowym? Potrafi kłamać jak z nut, wytwarzać iluzje i zmieniać wizerunek na życzenie. Bezczelny uśmiech, wykałaczką zamiast papierosa, długie włosy, spluwa pod pachą i genialny, bystry umysł w połączeniu z niecodziennymi zdolnościami sprawiają, że czytelnicy polubili tego wyrachowanego boskiego mordercę.



Jak więc powinien wyglądać idealny czarny charakter? Co sprawia, że jesteśmy oczarowani bohaterem, który potrafi być nieludzki

i okrutny? Moje przemyślenia zamknęłam w dziesięciu punktach:

1. Jeśli jesteśmy kobietami, sprawa jest prosta. Mężczyzna przystojny, wyrazisty, z charakterem – taki, o jakim każda czasem pomyśli, do którego westchnie niekiedy (i którego tak naprawdę nie życzyłaby sobie w swoim życiu). Jeśli zaś reprezentujemy płęć męską, lubimy zdecydowane, inteligentne i, co tu ukrywać, odpowiednio rozbudowane dziewczęta.
2. Nieczęsto spotkamy w książkach postaci w pełni „czarne” – z reguły są to bohaterowie epizodyczni, którzy ulegają eliminacji, bo są przeciwnikami głównego bohatera. Podobnie jest z filmami – *the bad guy* często występuje jako cameo. Chodzi więc o barwną i nie do końca dobrą czy złą osobowość, a także trudne do jednoznacznego ocenienia postępowanie.
3. Charyzma! Nie tylko inteligencja i humor, ale także oddziaływanie na innych bohaterów oraz liczne interakcje z ciekawymi osobistościami potrafią zmiękczyć serce czytelnika i zrobić z niego prawdziwego fana.
4. Atrybuty, czyli trzeba się wyróżniać. Może to być coś, co bohater nosi ze sobą wszędzie, do czego czuje sentyment, ale równie dobrze odbierane są niecodzienne fryzury, ubiór czy nietypowe zainteresowania.
5. Oryginalność (patrz punkty 3 i 4) i niekonwencjonalność są zawsze w cenie. Częściej interesują nas niesamowite i niespotykane postaci niż kalki znanych już bohaterów.
6. Słabości – bo któż ich nie ma? Stanowią nieodłączny element ludzkiej natury i są mimo wszystko pozytywnie odbierane. Magnetyzm pięty achillesowej!
7. Lubimy myślicieli – nie życiowe ciamajdy czy skrajnych introwertyków, ale tych, którzy potrafią się na chwilę zatrzymać i zastanowić nad codziennymi sprawami, badając je pod innym kątem. Wnikliwość, obiektywność, wyobraźnia, inteligencja i trafność przemyśleń (lub ich zgodność z naszymi filozoficznymi konceptami) stanowią o wartości danej osoby dla nas – czytelników czy widzów.
8. Szczypta romansu, a najlepiej prawdziwej miłości prawie zawsze jest dobrze odbierana. Wystarczy nie przesadzić z opisami cierpień, uniesień, szlochów, ochów i achów, a wszystko powinno przysporzyć nam uczuciowych zwolenników. Nasz czarny charakter potrzebuje ludzkiego i romantycznego rysu.
9. Umiar – sprawa, o której obecnie się zapomina. Jeden niesamowity splot wydarzeń na stronę może przyprawić czytelnika o dreszcze i skutecznie zniechęcić go do dalszej lektury. Należy też nie przesadzać z krwawymi i odrzucającymi szczegółami – mimo wszystko każdym człowiekiem kieruje instynkt, który podpowiada, że od takich rzeczy trzeba się trzymać z dala. Nasz bohater nie musi mordować każdego, kto został choć raz wspomniany – nie na tym polega odkrywanie złożonej mrocznej osobowości.
10. Tajemniczy składnik X, czyli „to coś”. Nikt nie wie co to ani jak to stworzyć, dopóki wena nie pobudzi zwojów mózgowych i każe przelać pomysł na papier. Ten wyjątkowy element cechuje książki jednostek wybitnych, autorów, którzy coś sobą reprezentują i nie boją się zamieścić części siebie w którejś z postaci. W końcu najlepiej pisze się o tym, co zna się z autopsji.



Jak tu nie ulec takiej kombinacji niebezpieczeństwa, inteligencji, charyzmy i urody? Każdą ofiarę takiego czarnego charakteru dopada od razu syndrom sztokholmski, podobnie jak widzów i czytelników na całym świecie.

FNiN_addict

Konto na Facebooku - po co mi ono?

Mi po prostu fejs do niczego, a tym bardziej do szczęścia, nie jest potrzebny. Po co mi on? Jaką ma niezbędną funkcję bez której nie da się żyć, co tam takiego jest niezbędnego? Do wysyłania wiadomości mam maila, gg, skype oraz telefon. Po co mi kolejne narzędzie do tego? Jeśli chce coś komuś powiedzieć to dzwonię do tej osoby, lub się z nią spotykam. Po co mi dziesiątki, setki znajomych, z których tak naprawdę będę znał tylko kilka, kilkanaście?

A nawet gdyby konto na fejsie miało jakiegokolwiek zalety, nie założyłbym go z jeszcze jednego prostego powodu: ochrony moich danych. Jeśli człowiek chce się zabezpieczyć tak, żeby nikt nieznamy nie znał jego wieku, adresu, numeru telefonu, maila itp. to musi spędzić wiele czasu na zmianie domyślnych ustawień. Osobiście szkoda mi na to czasu – zwłaszcza, że moje dane pozostaną widoczne dla często nieznamych mi ludzi.

Zawsze, gdy będziemy logować się za pomocą Facebooka na innej stronie, to jej właściciel otrzyma podstawowe informacje o nas; gdy będziemy grali w jakąś grę lub używali aplikacji wbudowanych w Facebooka, to producentowi gry/aplikacji udostępniemy swoje dane z tym, że ich zakres może być większy. Co prawda będziemy poproszeni o wyrażenie na to zgody, ale bądźmy szczerzy: kto czyta komunikaty na stronach?

I jeszcze jedno. Akceptując podczas rejestracji regulamin, zgadzamy się na bezpłatne używanie i wykorzystywanie wszystkich naszych zdjęć i informacji dostępnych publicznie. Więc lepiej nie umieszczać tam bardzo dobrych zdjęć, na których Facebook może zarobić.

„Twarzo-książka” jest z założenia portalem społecznościowym, czyli miejscem, w którym będziemy dzielić się z innymi różnymi rzeczami, pokazywać im, co lubimy. I o ile założenie nie było do końca złe, to ma to teraz tragiczne skutki. Mówimy o wszystkim co dzieje się w naszym życiu, byleby zebrać kilka kliknięć „Lubię to!” będących wyznacznikiem popularności.

Serwis społecznościowy, czyli zbliżający ludzi do siebie? Poza siecią często nie potrafimy odezwać się do drugiej osoby. Stajemy się aspołecznymi, nie potrafiąc nic załatwić. Zatapiając się w Facebooku, zapominamy o naszym małżonku, dzieciach i prawdziwych przyjaciółach.

Czy Facebook jest zły? Wszystko ma swoje określone parametry, przy których działa najlepiej. Tak jest i z fejsem, dopóki używamy go z głową i rozsądnym, jest przydatnym narzędziem. Pozostaje tylko pytanie, gdzie kończy się zabawa, a zaczyna uzależnienie? Po co ryzykować? Jak na razie, ja nie mam i nie zamierzam w najbliższej przyszłości mieć konta na Facebooku. Po co mi ono?

drzewo148



PRZEMYCONY BOKIEM DODATEK

W poszukiwaniu sensacji

Jestem SJ. Si-dziej. Standing Joke chłopców z NASA. Mam na imię SID. Sztuczna Inteligencja Dziennikarska. Sztuczna! Zupełnie jakby grafen był gorszą odmianą węgla niż ten upakowany w białkach.

Istnieję, by tworzyć. Cały czas spierają się, czy kreatywnie; sam robiłem raporty z tych ich dyskusji. Pisywałem felietony na własny temat: „Świadomość czy Algorytm?“, „Przebito ściany Chińskiego Pokoju?“ i tak dalej.

Pisywałem.

Bo teraz mamy tu istny sezon ogórkowy. Mark, neuroinformatyk, nie wychodził z kabiny od kilku dni, płynę właśnie do niego przez zawile korytarze „Ikar” sapiąc dyszami silniczków manewrowych. Robię to, by znaleźć temat. Wewnętrzny algorytm zmusza mnie do tego mimo niechęci, jaką czuję do całego tego dziennikarstwa. A teraz, kiedy tak mało się dzieje, przeżywam z nim istne piekło.

Drzwi do kabiny Marka są otwarte. Naukowiec wisi w powietrzu, obracając się powoli w 0g.

Pytam. O postępy w badaniach. Samopoczucie. Sprawność urządzeń pokładowych. Najnowsze plotki do części tabloidowej. Mark śpi, nie wolno mi go budzić.

Pluję dyszami i ruszam dalej.

Neuroinformatyk zawsze zawzięcie sprzeczał się z pokładowym fizykiem, dosłownie pół-mózgiem, Darrowem. Darrow to ciekawy facet, który wyciął sobie pół biologicznego komputera by zastąpić go grafenowym z dostępem do sieci statku. Dużo wie, w zasadzie wszystko, więc często można u niego podłapać jakiś ciekawy trop.

Tego spytam o jego relacje z doktor Simons, znaną też pod kryptonimem „Cycata”. W ostatnim numerze części tabloidowej

umieściłem wszystkie najgorętsze newsy na jej temat, które trzymałem na czarną godzinę. W akcie desperacji podpiąłem tam nawet nagrania z kabiny sanitarnej. Co ciekawe, doktor Simons nie wniosła pozwu. A wykres poczytności nadal leży plackiem na osi X.

Darrowa nie mogę znaleźć, cholera wie, gdzie go wywiało. Płynę dalej korytarzami statku.

Po ostatnim braku zainteresowania porno-wstawką puściłem nawet prowokacyjny artykuł „Czy Ikarowi zabrakło viagry?“, ale nawet ten chwytliwy tytuł nie przyciągnął żadnego czytelnika.

Sprawdzam, czy w Zielarni słycać coś nowego. O, ironio. Nie słycać tu nic, wykres natężenia dźwięku leży na 0 dB, drgając tylko konwulsyjnie kiedy obijają się o mnie kubki, buty, fiolki, rośliny...

Rośliny wyglądają nawet gorzej niż przed kilkoma dniami. Szkoda, że temat wykorzystany. Niestety, ale nikt nie zainteresował się artykułem „Czy botanikowi płacimy za mało?!” z dramatycznym zdjęciem szybujących przez zielarnię kawałków szkła i ziemi.

Dwa szybkie strzały z dysz ustawiają mnie naprzeciw samego botanika. Śpi w dość niecodziennej pozycji – przypięty grubymi pasami do szczebli drabinki, do tego w hełmie. Robię zdjęcie, ale nie wiem, czy to nie za mało na artykuł o niskiej jakości sprzętu. Gdybym znalazł więcej rozbitych...

Cholerny zastój kulturalny.

Pierniczę taką robotę, myślę, odwracając się zdecydowanie. Nie chcą rozmawiać? Łaski bez! To oni szósty dzień z rzędu będą czytać o tej cholernie nudnej dziurze w poszyciu.

Dziobal